

# Wolność zrzeszania się

4 lipca 2013

Wydaje się nieprawdopodobne, że w ostatnich dniach fundamentalne prawo ludzkości – wolność zrzeszania się – zostało potępione przez dziennik „New York Times” i wszystkie poważniejsze źródła opiniotwórcze. Nawet pewien krajowy polityk niechętnie bronił własnych wypowiedzi na rzecz tego poglądu, dystansując się następnie od tej myśli. Czy tak podstawowa zasada wolności stała się niewypowiadalna?

A może nie jest to tak nieprawdopodobne. Zarozumiały rząd, w erze despotyzmu takiej jak nasza, musi zwyczajnie zaprzeczyć takiemu fundamentalnemu prawu, bo jest to jedna z tych kluczowych kwestii, które mówią, kto ma władzę: państwo czy jednostki.

Żyjemy w antyliberalnych czasach, kiedy samodzielny wybór jest wysoce podejrzany. Silny etos legislacyjny czyni wszelkie działania nakazami lub zakazami, z coraz mniejszą przestrzenią dla ludzkiej woli. Mówiąc prosto: nie wierzymy już w ideę wolności. Nie możemy sobie nawet wyobrazić, jakby to miało działać. Jakąż to drogę przebyliśmy od Wieku Rozumu do naszych czasów.

Odwołując się do wielce kontrowersyjnej ustawy o prawach obywatelskich z 1964 r., Karen De Coster kładzie kres tej kwestii, całkowicie odwracając pytanie Rachel Maddow. Rachel żąda odpowiedzi na pytanie, czy biały biznesmen ma prawo odmówić usługi czarnemu człowiekowi. Natomiast Karen pyta, czy czarny biznesmen ma prawo odmówić usługi członkowi Klanu.

Nie sądzę, by ktokolwiek kwestionował to prawo. Sposób użycia prawa do współpracy (które siłą rzeczy jest prawem do odmówienia współpracy) jest kwestią indywidualnego wyboru, poddanego głębokiemu wpływowi kontekstu kulturowego. Fakt, że człowiek ma prawo dokonywania takich wyborów samodzielnie, nie

może być zanegowany przez nikogo, kto wierzy w wolność.

Prawo do wykluczenia nie jest czymś marginalnym. Jest podstawą funkcjonowania cywilizacji. Jeśli używam własnościowego oprogramowania, nie mogę pobrać go bez podpisania umowy. Jeśli odmówię podpisania, firma nie musi mi go sprzedawać. A dlaczego? Bo to ich oprogramowanie i oni ustalają zasady użytkowania. Koniec i kropka.

Jeśli prowadzisz blog, który akceptuje komentarze, wiesz, jak ważne jest to prawo. Musisz być w stanie eliminować spam, blokować adresy IP trolli, poza tym włączać lub wykluczać daną osobę na podstawie wartości, jaką wnosi. Wiedzą o tym w każdym miejscu w Internecie, które wiąże się z udziałem społeczeństwa. Bez tego prawa każde forum rozpadłoby się po przejęciu przez złe elementy.

Prawa do wykluczenia używamy każdego dnia. Jeśli idziesz na lunch, część ludzi przychodzi, a część nie. Gdy organizujesz przyjęcie, dbasz, by uwzględnić pewnych ludzi i koniecznie wyklucasz innych. Niektóre restauracje oczekują i wymagają adekwatnego obuwia oraz koszuli, a nawet marynarki i krawata. New York Times zamieszcza pewne artykuły i wyklucza inne, wpuszcza pewnych ludzi na spotkaniach redakcji, a nie dopuszcza innych.

Kiedy przedsiębiorstwo zatrudnia pracowników, część ludzi spełnia określone wymagania, a reszta nie. Tak samo jest w przypadku przyjęcia na uczelnie wyższe, członkostwa w kościele, bractwach, klubach obywatelskich i w prawie wszystkich innych stowarzyszeniach. Wszystkie używają prawa do wykluczania. Jest ono fundamentalne dla organizacji każdego aspektu życia. Jeśli to prawo jest negowane, to co otrzymamy w jego miejsce? Przymus i presję. Państwo wymusza podział społeczny, w którym jedna grupa ludzi musi służyć drugiej. Jest to przymusowa służebność, jednoznacznie zakazana przez 13. poprawkę. Można przypuszczać, że kochający wolność ludzie będą zawsze przeciwko temu.

Jak mówi Larry Elder: „To jest wolność 101”.

A co ze stwierdzeniem, że rząd powinien regulować kwestie wykluczeń? Powiedzmy na przykład, że nie zaprzeczamy ogólnemu prawu do wolnego zrzeszania się (w znaczeniu wolności do współpracy – przyp. tłum.), ale zawężamy jego zakres, by odnieść się do konkretnej niesprawiedliwości. Czy to jest do przyjęcia? Cóż, wolność jest trochę jak życie – albo jest, albo jej nie ma. Krojenie i szatkowanie wolności zależnie od politycznych priorytetów jest niebywale niebezpieczne. Tworzy to podziały społeczne, prowadzi do arbitralnej władzy, legitymizuje pewną formę niewolnictwa i odwraca sytuację na niekorzyść tych, którzy dzierżą rzeczywistą władzę w społeczeństwie.

Fakt, że rząd sądzi, iż może regulować „obszary” podejmowania decyzji mrozi krew w żyłach. Sądzi on, że rządowi biurokraci mają prawo i zdolność czytania w myślach – jak gdyby znali prawdziwe motywacje każdego działania, bez względu na to, co twierdzi osoba podejmująca decyzję. Oto, w jaki sposób banki w ostatnich dziesięcioleciach zdołały chaotycznie rozdać kredyty hipoteczne: próbowały opędzić się w ten sposób od regulatorów, doszukujących się jakiegokolwiek oznaki rasowej dyskryminacji.

Oczywiście ta sztuczka z czytaniem w myślach nie jest arbitralna. Jest podyktowana polityczną presją. Nie dziwi więc, że od przegłosowania ustawy w 1964 r., kwestie, które dostrzegali regulatorzy, i tym samym zablokowali, rozmnożyły się i są teraz zupełnie poza kontrolą. Czy ta strategia rzeczywiście podniosła poziom dobrobytu społecznego, czy też zaostrzyła konflikt pomiędzy grupami, które państwo wykorzystowało do swoich własnych celów?

Ale czy odważylibyśmy się pozwolić właścicielom na samodzielne podjęcie takich decyzji? Z historycznego punktu widzenia niesprawiedliwość wobec czarnoskórych wyrządzana była głównie przez rządy. Prywatny biznes nie prowadzi polityki rasowej, ponieważ oznacza to wykluczenie części kapitału klientów.

I właśnie dlatego rasiści, nacjonaści i zatwardziali fanatycy zawsze sprzeciwiali się liberalnemu kapitalizmowi – włącza i wyklucza on, bazując na kryterium pieniądza, nie biorąc pod uwagę cech, które wszelkiego rodzaju kolektywiści uważają za ważne. W wyobrażonych utopiach narodowych socjalistów orędownicy handlu wiszą na latarniach jako zdrajcy rasy i wrogowie narodu.

Jest tak dlatego, że rynek ma skłonność do tworzenia zawsze zmiennej palety form zrzeszania się których wzorce postępowania nie mogą być znane i nie powinny być regulowane przez urzędników państwowych. Natomiast rządowe próby regulacji współpracy prowadzą do bałaganu i społecznych katastrof.

Jak tłumaczył Thomas Paine: „W tych zrzeszeniach, które są przypadkowo tworzone w celach handlowych lub jakichkolwiek innych, w których rząd nie jest w ogóle brany pod uwagę, i w których ludzie działają jedynie na zasadach społeczeństwa, widzimy jak rozmaite grupy naturalnie się jednoczą; a to pokazuje przez porównanie, że rządy – tak dalekie od bycia stale przyczyną lub środkiem do ładu – są wobec nich destruktywne.”

Właśnie dlatego libertarianie mieli rację, sprzeciwiając się klauzulom Ustawy o Prawach Obywatelskich. Uderzają one w serce wolności, niezwykle wysokim kosztem społecznym. Nie jest zaskoczeniem, że bezmyślne i antyintelektualne organy opinii usiłowałyby temu zaprzeczyć. Ale to, co mnie zaskoczyło to prędkość, z którą rzekomi libertarianie, szczególnie w granicach stanu DC, zdystansowali się od zasady wolności do zrzeszania się. Nie odczytuję tego jako miary intelektualnego bankructwa, lecz jako oznakę strachu, który w wieku despotycznej kontroli tak wielu odczuwa przed mówieniem władzy prawdy.

Autor: Llewellyn H. Rockwell Jr.

Tłumaczenie: Łukasz Prządo

Źródło oryginalne: mises.org

Źródło polskie: [Instytut Misesa](#)